

Warszawa dnia 9 (21) Sierpnia 1867 roku.

Nr 34. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

Wiejska Pastuszka.

Mówią, że ja umiem wiele,
Oj! nie wiele, to nie wiele,
Bo choć tego nie rozumiem,
To zda mi się, mało
[umiem.
A chciałabym umieć
[więcej
I tak pragnę najgorę-
[cej,
Wiedzieć jak to tra-
[wka rośnie,
Ledwie słonko bły-
[śnie w wiośnie,
To wnet łąka się zie-
[leni
I stokrocią sad ru-
[mieni,
Zkąd to? zkąd to?
[miły Boże,
Pojąć myśl moja nie
[może.

I nieraz się tak wsłu-
[chuję,
Jak w brzezince wy-
[śpiewuje
Śliczna malutka pta-
[szyna
Gdy z wiosną śpie-
[wać zaczyna,
Cudniej śpiewa niż
[fujarka,
Ta z wierzbiny wio-
[ski grajka.
Ptaszek nuci, to ja
[płaczę,
Grajek zagra, to wnet
[skaczę,
Czemu? czemu? miły
[Boże,
Pojąć serce me nie może.
O! raz wstałam raniuteńko,
Jeszcze, jeszcze, przed świtaniem,
Zorze różową jutrzenką,
Wschód złocił mgły zaraniem;

Gdym wybiegła z naszej chaty,
To zaledwie już tam dniało,
Budziły się ze snu kwiaty,
Powietrze wiosną pachniało,
Leniwie główki wznosiły


Wiejska Pastuszka.—(Rysunek Polkowskiego.--Drzeworyt Zabłockiego).

I kroplami rosy lśniły;
A zwracały zkąd wschodzące,
Złotym krągiem płonie słońce.
Kiedy pierwszy promień błysnął,
Światłem ciepłem ludziom cisnął,

To ziemia życiem zadrgała,
I pieśnią chwały rozbrzmiała.
Jam widziała gwiazd tysiące,
I wschodzące złote słońce,
A któż to? któż to? wypowie?
Co dał Pan Bóg czło-
[wiekowi,
Cuda, cuda, święty
[Boże!
Słońce, księżyc, gwia-
[zdy, zorze.

Jam uczona powia-
[dają:
Że tak dużo piosnek
[umiem,
Piosnki same się skła-
[dają,
Zkąd się biorą nie ro-
[zumiem.
Kiedy w pole nieraz
[biegnę,
Z owieczkami spojrzę
[w koło,
Jakże cudnie, jakże
[pięknie,
Jakże w świecie tym
[wesoło.
Kwiaty kwitną, słoń-
[ce świeci,
Ot i piosnka sama
[leci,
Leci górą, lecz daleko!
Po nad borem, po
[nad rzeką,
Echa w lesie głos
[chwytają,
I piosenki powtarzają.
A ja w polu bławat
[zrywam,
Wianki plotę i wciąż
[śpiewam,
Śpiewam piosnki, wianki plotę,
Cały dzionek mam robotę,
A przy pracy się nie trudzę,
W polu nigdy się nie nudzę;
Kiedy słonko już się zniża

Po za górę, nad wieczorem,
Pędzę owce koło krzyża.
Idą ścieżką kraju borem;
Moje owce drogę znają,
I u krzyża same stają.
Bożą mękę w bławat stroję,
Panu składam wieńce moje,
A zmówiwszy ,,Pod obronę,"
Me baranki rozproszone,
Co rozbiegły się z gromadki
Zganiam w wrota naszej chatki.
W progu matka na mnie czeka,
I niby z gniewem zdaleka
Woła na mnie: ,,swywolnico,"
,,Wracasz późno, już mroczeje,"
,,Nuż mi wilcy ciebie schwycą,"

I po gniewie,—bo się śmieje,
A ja myślę miły Boże!
Szczęście większem być nie może.

Cóż ja umiem? och nie wiele:
Umiem modlić się w kościele,
A najprzód Bogu dziękuję,
Za to co serce me czuje,
Bo nad cudne świata zorze,
Piękniejsze duszyczki Boże,
A nad gwiazdek błysk niebieski,
Świetniejsze sieroce łezki.
Ja w kościele się nie boję;
Choć tam obcych ludzi wiele,
To ja widzę siebie śmiele
I u proga zawsze stoję,

A z pokory tak u proga,
Kornem sercem chwalę Boga;
A gdy u ołtarza klęknę,
To i pana się nie zlęknę.

W kościele wszyscy jednacy,
Czy panowie, czy prostacy,
Jak odmówię swe pacierze
I pomodlę z serca szczerze,
To mi tak na duszy lekko,
Jakby w Niebie nad mą dolą
Bóg litosną swoją ręką
Zniszczył ciernia—co tak kolą,
Czem się dzieje miły Boże!
Któż Twą wolę zgadnąć może.

Liljana.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Ciąg dalszy*, Patrz Nr. 33).

II.

Oko mieszkańca dolin przywykłe błąkać się po równinach, a za spojrzeniem w górę spostrzegać tylko gwiazdy albo słońce, pod czas wycieczki w górzyste okolice narażonem jest na nieustanne omyłki. Perspektywa podlega tutaj zupełnie odmiennym warunkom. Szczyt do którego dążymy wydaje się dziesięćkroć bliższym niż jest w istocie, wyniosłe drzewa z oddalenia przybierają postać zarośli, skały ogromne z bliska zdają się z dali niewielkiemi głazami, a orła siedzącego na wierzchołku góry bierze ochota wziąć za wronę. Największą też przykrością podróży pod górę jest ta ciągła pozorna bliskość celu, do którego mimo zrywania nóg dojść jednakże niepodobna. Cierpliwość wyczerpuje się tu prędzej jeszcze niż siły, i znudzenie zaczyna męczyć moralnie nim wędrowca fizyczne ogarnia zmęczenie.

Mrożek i Świt pięli się tak pod górę przez dobrą jeszcze godzinę. Świt zdawał się bardziej znużonym od Mrożka, który z uwagą i ciekawością przypatrywał się każdej przepaści, około której przechodzili i bystrem okiem mierzył jej spadek i głębią.

Świt pierwszy zażądał spoczynku.

— Mieliśmy się nie oprzeć aż na górze, —odpowiedział mu na to Mrożek.

— Sił mi nie starczy.

— Dobądź pan jeszcze na kilkadziesiąt kroków. Patrz pan... wdrapiem się na tę skałę, z jednej strony prostopadle niemal sterczącą nad niedostępną prawie kotliną. Tam już będziem niemal u szczytu— pyszny widok z tamtąd być musi.

Nie umiejący się opierać towarzysz, zaczął dobywać ostatnich wysileń.

Po dziesięciu minutach które do ostatka wyczerpały siły Świta, stanęli w miejscu przez Mrożka wskazanem. Mrożek nie zdawał się czuć zmęczenia i skoro tylko dostał się na miejsce które sobie upatrzył, rozglądać się w niem zaczął bardzo pilnie.

Było to na krawędzi przepaści tak stromej, że rzucony z niej ciężar dopiero o paręset stóp mógłby napotkać przeszkodę, o którą zatrzymać a raczej rozbićby się musiał. Mrożek mierzył tę przepaść okiem nie szukającem w niej estetycznego piękna, lecz jakiejś innej tajemnicy.

— Takiej mi było trzeba, — rzekł do siebie.

Świt nie zajmował się widokiem jaki mieli przed sobą. Znużony usiadł z razu o kilka kroków od krawędzi przepaści, potem wsparł się na łokciu, potem głowa powolnie opadać mu zaczęła na ziemię.... usypiał.

Mrożek pociągnął go za rękę.

— Pan spać myślisz — rzekł.

— Spać — odrzekł Świt na pół uśpiony.

— Widok taki prześliczny.... na szczyt tak niedaleko.

— Potem.... teraz spać....

— Napij się pan wina.

— Nie chcę....

Mrożek nie zważał na odmowę, wyjął ze swojej torby butelkę i przyłożył ją do ust Świtowi.

Wino orzeźwiać zaczęło znużonego.

— Po co spać, — mówił Mrożek, — będzie na to dość czasu..... długo.... wieczność cała...

— Wieczność -- powtórzył niezupełnie jeszcze przytomnie Świt.

— Wieczność, panie.... lepiej umrzeć niżli spać, powiedział Konfucjusz — wstań pan, cudowny widok.

Świt podniósł się przy pomocy Mrożka.

— No, jeszcze trochę wina, panie.

Świt pociągnął znowu z butelki.

— A teraz chodź pan tutaj, — rzekł Mrożek przyciągając nieznajomego nad sam brzeg przepaści — nieprawdaż jaki widok?

Okiem bardziej snu niż piękna spragnionem, Świt zaczął wodzić do koła, prawiąc niezbyt zrozumiałe wyrazy; Mrożek tymczasem odszedł o krok od niego, raz jeszcze pośpiesznym rzutem oka zmierzył głębią przepaści, potem szybko stanął po za Świtem i silnem pchnięciem w plecy... strącił go ze skały.

Zostawszy sam nad krawędzią nieruchomy, z kołem stojącemi oczyma, nie poruszył się, nie drgnął, aż po kilku sekundach echo przyniosło mu głuchy jęk, — jeden tylko.

Jęk ten oprzytomniał Mrożka.

— Stało się!.... po wszystkiem!.... — rzekł do siebie.

Pochylił się nad przepaścią i spoglądał w nią ciekawie. Świt leżał o kilkaset stóp w głębi bez poruszenia, bez jęku.

— Ani drgnął — rzekł Mrożek do siebie.

Potem obejrzał się do koła, zmrużając oczy, żeby jeszcze dalej wzrokiem przeniknąć w okolicę.

— Żywa dusza widzieć nie mogła—myślał,—łatwiej nawet poszło niż sądziłem. Teraz śpieszmy się, do dzieła.

Otworzył do torby swego towarzysza podróży, przejrzał szybko co się w niej znajdowało, wszystkie prawie rzeczy w niej pozostawił, podokładał jeszcze nieco ze swojej, a przedewszystkiem prawie wszystkie zapasy żywności i niektóre drobne przedmioty nic nie mogące powiedzieć o swym właścicielu, następnie zamknął swoją torbę, która tym sposobem stała się lżejszą o połowę i rzucił ją w przepaść, starając się żeby padła w to samo mniej więcej miejsce gdzie Świt leżał.

Potem tak samo zrobił z kijem: Swój rzucił, a kij Świta zatrzymał dla siebie.

— Przewidywałem, że pieniędzy ani papierów w torbie nie będzie — mówił wreszcie do siebie,— i dobrze żem się przygotował na to. Pozostaje mi jeszcze do dokonania najniebezpieczniejsza część przedsięwzięcia. Muszę się dostać do niego.

Mrożek widocznie wszystko z zimną krwią obmyślił i na wszystko się przygotował, nie tracił bowiem czasu na upatrywanie którędy byłoby najdogodniej dostać się do trupa leżącego w wąwozie, lecz szybko i pewny siebie puścił się odmienną nieco drogą od tej, którą przyszli na skałę.

— Głupi — mówił do siebie, — niby to miał włóczyć się po górach, a nie dopatrzył, że o kilkadziesiąt kroków na lewo byłoby dziesięć razy dogodniej piąć się na górę, niż tamtędy którędy go prowadziłem. To też się zmęczył, bo zmęczył!.... niech że sobie teraz wypocznie.

Mówiąc to uśmiechał się szatańsko.

Droga, którą obrał Mrożek do zejścia aby się dostać w miejsce w którem leżał Świt, była w istocie daleko dogodniejszą od tej, którą przebywali razem poprzednio. Mrożkowi przecież bardziej się śpieszyło na dół niż na górę, chciał skończyć prędko całą sprawę i wydostać się co prędzej z miejsca, w którem się znajdował. To też choć droga była lepszą, klął ją w duszy jeszcze bardziej niż przedtem. Dla pospiechu i bezpieczeństwa w spadzistych miejscach używał sposobu, który mu instynkt podyktował: szedł na czworakach brzuchem obrócony do góry, trzymając w zębach na piersi położoną torbę. Tym sposobem niebezpieczeństwo obsunięcia stawało się prawie żadnem i można było pośpieszać.

Dziesięć minut zaledwie upłynęło, nim przyszedł do ciała człowieka, któremu życie odebrał.

Gdyby kto widział go w tej chwili gdy się przypatrywał swej ofierze, wzdrygnąćby się musiał z oburzenia.

Najwyższym stopniem zatwardziałości zbrodniarza, zdaje się zimna krew w obec ofiary. Mrożek jednakże posunął się dalej—nie tylko bowiem okazał zimną krew, zdobył się na odwagę szyderstwa i lekceważenia.

Obejrzał go starannie, głównie przypatrując się twarzy.

— Już po nim — mówił do siebie, — choćbym nawet chciał, to go nie wskrzeszę..... a czuję że wskrzeszać nie chcę. Twarz mu się poorała i pokaleczyła do niepoznania..... wybornie!.... wyręczył mnie przypadek, gdyż inaczej musiałbym się sam zająć tą niezbyt przyjemną robotą. Dalej... szukajmy papierów...

W jednej z kieszeni zabitego znalazł się gruby pugilares: Mrożek chciwie go pochwycił. Mając go już w ręku chciał odchodzić, wprzód jednak rozpatrzył się ponownie po okolicy.

— Czegóż ja się boję tak znowu — rzekł do siebie, — gdyby mnie nawet tu spostrzegli, to cóż?... przypadek. Zobaczyłem z góry trupa i szedłem żeby się przekonać, czy w niem jeszcze nie ma iskierki życia. Co do mnie jestem człowiek niewinny.... mam dowody że się nazywam.... Jan Świt. Ten co tu śpi, będzie miał także dowód że się nazywa... Wincenty Mrożek.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni zwitek papierów i wsunął go w kieszeń zabitego.

Mimo pewności, że choćby go zobaczono nad ciałem ofiary nic go zbyt strasznego czekać nie mogło, Mrożek nie myślał pozostać długo na miejscu. Zrobiwszy to co zamierzył, spojrzał raz jeszcze na trupa i rzekł:

— Ciężkiem ci się zdawało życie, ja więc ten ciężar przyjmuję na siebie. Zdaje mi się, żem ci oddał przysługę, bom ciebie nie zabił tylkom samobójstwo popełnił; Wincenty Mrożek śpi u podnoża skały, a Jan Świt dalej we mnie żyć będzie. Pomienialiśmy się na nasze dole. Ja gdybym był tobą byłbym kontent i nie narzekał na los, rozumie się, gdybym miał rozum tak jak go mam. Ty gdybyś był mną, gdyby ci groziło to co mnie grozi a raczej Wincentemu Mrożkowi, ot, może byś się sam rzucił z tej skały jak ja ciebie z niej zepchnąłem, rozumie się, gdybyś był takiem głupcem jak byłeś. Nie mamy sobie nic do wyrzucenia, śpij zdrów panie... Wincenty Mrożku.

Te słowa przemieniony w Jana Świta, Mrożek powiedział już z pewnego oddalenia; potem tą samą drogą, którą się spuszczał przed chwilą, zaczął wracać na górę i niedługo trup towarzysza podróży znikł z jego oczu.

Wyszedłszy na skałę z której zepchnął nieszczęśliwego człowieka, Mrożek nie zatrzymał się w cale. Potrzeba najszybszego oddalenia się z miejsca zbrodni, przemogła nad zmęczeniem i dodawała mu sił. Piął się pod górę nie zaglądając nawet do pugilaresu, który zabrał zabitemu, chociaż go paliła ciekawość żeby zobaczyć czy w nim znajdzie to wszystko, co się znaleźć spodziewał.

— Będę szedł dopóki nóg wystarczy — mówił do siebie, — nie spocznę chyba gdybym ludzi zobaczył, a wtedy jeżeli będzie można... schowam się. Na dzisiaj to najlepsza taktyka. Na przejrzenie papierów potrzeba więcej czasu, niż go w tej chwili stracić mogę. Przeklęte góry!.... tak mało uszedłem.

Nie siadając na chwilę, parę razy orzeźwił się winem i szedł dalej.

Przybył na wierzchołek góry lecz i tu się nie zatrzymał. Równie pilno jak wejść na nią, śpieszyło mu się zejść na drugą stronę. Nie znał drogi, rozpatrzył się więc tylko, którą stroną najlepiej zamiar uskutecznić i bez długich namysłów na los szczęścia, puścił się na dół.

Schodzenie z góry bezwzględnie biorąc, przedstawia również trudności jak drapanie się pod górę. Jeżeli tam trud większy, tu za to ostróżność większą być musi. Zdrowa budowa piersi jest głównym prawie warunkiem dla tych, którzy wchodzą na góry; ci którzy schodzą potrzebują za to więcej siły i zdrowia w kolumnie pacierzowej, a że o ludzi zupełnie zdrowych trudno zawsze, ztąd jedni

z większą przykrością drapią się pod górę, inni więcej mają trudu w schodzeniu. Mrożek, któremu łatwo było wchodzić dzięki silnej organizacji klatki piersiowej, przy schodzeniu często się musiał uciekać do wypróbowanego już swego pomysłu schodzenia na czworakach. Przytem gdy zeszedł cokolwiek od wierzchołka góry, uczuł się bezpieczniejszym nieco. Grzbiet góry zdawał mu się barykadować go od podejrzenia o zabójstwo, którego się obawiał, chociaż w jego prawdopodobieństwo nie wierzył. Obawa mniej już wpływała na powiększenie jego sił, zmęczenie opanowywać go zaczynało, ciało gwałtownie domagało się spoczynku, a rozum coraz słabiej go odradzał.

Walka woli ze znużeniem, nie skończyła się jednak prędko. Słońce już miało się bardzo ku zachodowi, gdy Mrożek uległ.

— Od miejsca katastrofy w prostej linji, — mówił do siebie, — ot gdyby tak tę górę przewiercić jestem może o parę tysięcy łokci... gdyby wyprostować drogę którą przeszedłem, zrobiłoby się kilka mil; a gdyby kto chciał z tamtąd tutaj dostać się drogami któremi zwykle ludzie chodzą, zrobićby może musiał z kilkanaście. Nie ma jak góry!... Nie będzie nierozsądkiem spocząć i nabrać nowych sił, bo tej resztki co mi została, już i na sto kroków nie starczy, a przytem trzeba zobaczyć czy moje dowody osobiste są w porządku.

Usiadł tedy i zaczął przeglądać pugilares zabitego.

Było w nim dosyć papierów i trochę osobistych notatek, oraz kilka stu-reńskowych banknotów i nieco drobniejszych papierowych pieniędzy.

— Skarby, skarby nieocenione—powtarzał Mrożek spoglądając, — odczasu jak jestem obywatelem państwa austryjackiego, to jest używam praw *przysługujących* mieszkańcom królestw Galicji i *Głodomerji*, jeszcze nigdy nie byłem w takim porządku z policją.

Z tej przemowy można wnosić, że tajemniczy Mrożek, który z taką ochotą pozbywał się swego imienia i nazwiska, nie był obywatelem nieistniejącej zresztą Lodomerji od urodzenia, i pochodził zapewne z Poznańskiego, gdyż tam tylko panuje zwyczaj mówienia, że prawa ludziom *przysługują* a nie *służą*.

— Karta legitymacyjna służąca na rok cały — unosił się dalej Mrożek, — czy może być coś pożądańszego, jak dla mnie?... Dowód niemiecki od towarzystwa assekuracyjnego w Wiedniu... dowód na mocy którego pobierać będą sześćset reńskich rocznie w ratach kwartalnych aż do śmierci... doprawdy to zbyt hojna nagroda za zrobienie Mrożkiem tego dudka i uwolnienie go zarazem od wszystkich niebezpieczeństw jakie zagrażały Mrożkowi... Do tego jeszcze pięćset dwadzieścia kilka reńskich gotowizną... w połączeniu z tem co mam będzie ze siedm tysięcy!...

Zatarł ręce z zadowoleniem.

— Pomnik mi wznieść — myślał dalej, — pomnik mi wznieść. Z niemałego ambarasu wygrzebałem się nie tylko że bez kosztów, ale nawet z zyskiem. Mrożek jak kot upadł na łapy i.... zabił się jako Mrożek, ale odżył Świtem. Cześć niebboszczykowi Mrożkowi.... Jan Świt wznosi toast za jego zdrowie.

Pociągnąwszy z butelki, powrócił znowu do pugilaresu.

— Ho! ho! — myślał przeglądając go dalej, — są tu jeszcze rzeczy bardzo pożyteczne, równie prawie potrzebne jak karta letygimacyjna, a niezawodnie potrzebniejsze mi w tej chwili od pieniędzy, I ja nie myślałem o tych rzeczach. Poczciwy los!.... przysługuje mi się co chwila, nastręcza mi rzeczy, których byłem tyle nieroztropny, żem nie przewidział..... Dobrodziej los, daje mi lekcje przebiegłości. Zostając Janem Świtem naturalnie potrzebuję pisać i podpisywać się tak samo jak to Jan Świt robił kiedy mną nie był, — otóż tutaj mam do tego wszystkiego wzory; dalej potrzebuję choć cokolwiek więcej niż wiem dotąd, pamiętać z mojej przeszłości, — ztąd będę mógł niejednego szczegółu się dobadać...... są tu moje osobiste notatki, nie dość na tem, wchodząc we wszystkie prawa Świta, staję się synowcem jego stryja, po którym może kiedyś przyjdzie mi odebrać sukcessją. Anibym wiedział jak się z nim skommunikować, gdybym tu nie miał gotowego listu, którego ten....

Tu Mrożek przerwał sobie w myśli.

— No, no, nie wymyślajmy mu, poczciwy chłopak kiedy tak mnie we wszystko dobrze zaopatrzył. Nawet list do stryja napisał, tylko go widać jeszcze na pocztę oddać nie miał sposobności. Wszystkie te rzeczy nauczą działać i postępować zupełnie tak samo, jakby postępował Jan Świt.... no, może inaczej, ale tak że się nikt na tem nie pozna, już w tem moja rzecz... pisać się nawet takim samym charakterem nauczę, abym tylko osiadł spokojnie gdzie bądź w górach... a dalej wszystko pójdzie jak po maśle. Do Węgier teraz nie ma już po co się wybierać.

Takie rozkoszne myśli tak dalece ukołysały znużonego Mrożka, że przejrzawszy wszystkie papiery i zamknąwszy pugilares, nie mógł się zdobyć na dość energji, żeby się puścić w dalszą drogę.

— Wypadłoby iść — mruczał pod nosem,—ale doprawdy nie podołam. Chwileczkę jeszcze spocząć muszę..... Przez trzy noce nie spałem prawie i niedziwota — groziła mi turma, dźwięczały mi w uszach kajdanki..... Teraz jestem wolny człowiek, nikt do mnie nie ma nic... jestem Jan Świt... słyszycie?.... jestem Jan Świt... Mam prawo spocząć... chwileczkę tylko, jeszcze chwileczkę... jestem Jan Świt...

Tak bełkocząc, opuścił głowę na ziemię... i zasnął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDY WARSZTATOWE

II.

Koszykowe dochody.

Dzień 1 Marca, jakkolwiek w żadnym kalendarzu nie wydrukowany czerwono, nie oznaczony gwiazdką, krzyżykiem, ani jakimkolwiek znakiem szczególnym, taki zdaje się dzień zwyczajny jak każdy inny, a nawet czasem posępniejszy od wielu innych bo np. tego roku wypadał w Piątek,— jest jednak datą pewnego znaczenia w Kalendarzu domowym naszych miejskich gospodarstw

Jaka to jest data, o tem zapewne panowie z Obserwatorjum Astronomicznego, co układają część właściwie kalendarską do kalendarzy, nie wiele mogliby powiedzieć—skrzętne jednak gospodsie nasze i wszelkiego rodzaju służące: młodsze, kucharki, piastunki, do wszystkiego itp. z łatwością udzieliłyby objaśnienia.

Pierwszy Marca jest jednym z czterech dni w roku, w których najpospoliciej na mocy zwyczaju a podobno i prawa, odbywa się dziękowanie za służbę i wypowiadanie służby. Marzec, Czerwiec, Wrzesień i Grudzień są miesiącami poszukiwania miejsca, miesiącami najintratniejszemi dla kantorów stręczeń służących.

Służby u nas zmieniają się w średniem przecięciu co kwartał, dla tego że zwyczajem jest godzić się kwartalnie. Gdyby weszło w zwyczaj godzić się na miesiąc, zmieniałyby się co miesiąc niezawodnie—bo już to największa część posługi domowej w naszem mieście najmniejszego nie ma zaufania do przysłowia o kamieniu co na miejscu porasta, miejsca zagrzewać nie lubi—a jak może najczęściej szuka odmiany i polepszenia sobie losu. Raz zdarzyło mi się widzieć książeczkę służbową pewnej Marjanny kucharki, dystyngowanej z tego względu, że przy skrobaniu kartofli musiała być w rękawiczkach, nosiła krynolinę *stalkową*, kapelusz i parasolkę, a podwórzec każdego domu w którym służyła uparcie nazywała *podwyrkiem*;—otóż w tej książeczce obejmującej świadectwa z lat sześciu, było 25 poświadczeń w wyrazach bardzo zimnych opowiadających, że sprawowała się „dobrze." Poczciwa dusza w jednem miejscu przesłużyła aż dwa kwartały, ale w trzech za to nie dobyła do kwartału. Gotówbym się założyć, że ta jedyna półroczna służba zacnej Marjanny, była u których z tych pań.... darujcie że się tak wyrażę... darmozjadów, co to lenią się choćby raz na tydzień, w dzień targowy w Piątek, pójść do miasta i patrzą przez szpary na to, że ich służące od wszystkiego co kupują dla domu, sowite pobierają *koszykowe*.

Wymówiłem wreszcie ten wyraz, a ponieważ koszykowe jest głównym przedmiotem tej gawędki, więc powracam do rzeczy, i powiem wam o niem opinją—nie moją broń Boże, bom jako człowiek do wyrokowania stanowczego o rzeczach zamłody, a jako autor dopiero po raz drugi dostępujący honorów druku—za świeży jeszcze oraz niekompetentny, gdyż będąc samym sobie sługą i panem, ani razu w życiu nie miałem sposobności pobierać albo opłacać koszykowego.

Zdania które tu o koszykowem wypowiem, wyszły z ust pana Marcina Gozdzieja, człowieka statecznego i poważnego, który mógłby mi być ojcem, a przecież przyjacielem swoim mianować mi się pozwala, z czego mam prawo chlubić się i być dumnym. Bo pan Marcin Gozdziej choć tylko rzemieślnik, zamożny, prawy i używający poważania między swojemi, choć tylko majster bednarski, pracujący jak się zdaje jedynie na chleb dla siebie i licznej dziatwy, nie jest człowiekiem płytkiego powierzchownego sądu. Zdanie jego zawsze praktyczne, rada zawsze poczciwa, obejście z ludźmi miłe i łagodne, to też wszyscy radzi słuchają pana Gozdzieja, a kto lepszy to nie tylko wysłucha co mu pan Marcin powie, ale jeszcze tak zrobi jak pan Marcin doradzi i niesłyszałem dotąd, żeby kto źle na tem wyszedł.

Otóż w sąsiednim domu obok pana Gozdzieja, którego zakład bednarski znajduje się przy ulicy Krochmalnej, stróżem jest poczciwy człowiek, a żoną jego zacna i porządna kobieta; na Krochmalnej bowiem ulicy tak jak na wstępie do bajek Krasickiego:

Jest stróż, który nie pija, trzeźwo żywot pędzi,
Jest stróżka, co się z nikiem nie kłóci, nie zrzędzi...
Gdy zamiotą ulicę, bramę i podwórko,
To siedzą w izbie cicho, przy pracy z swą córką.

Jest więc i córka, miła, wesoła, ciemnowłosa, siedmnastoletnia dziewczyna, wychowana w ubóstwie, lecz nie zepsuta złemi przykładami. Mogłaby ona przynieść szczęście domowe niejednemu z tych, co dziś grosz ciężko przez cały tydzień zapracowany na hulance tracą w Niedzielę, ale to biedne dziewczę, więc ci hulający ichmoście co hasającym na Srebrnej Sali pięknościom tak ochotnie fundują ponczyk i bawara, nie zajrzą nawet na Krochmalną ulicę, żeby ją poznać, a jak się coś w sercu odezwie, aby wysłać swaty i wyprawiać weselisko.

Ze skromnej pracy stróża i niewielkiej pomocy z rąk niewieścich nie łatwo to nakarmić aż troje, więc poczciwe stróżyska uradzili, że trzeba córkę Franciszkę oddać do służby do jakich dobrych państwa, gdzieby się mogła robót gospodarskich poduczyć i zapewnić sobie chleb na wypadek, gdy rodzicom starość lub śmierć na jej potrzeby pracować nie pozwoli.

Mając się rozstać z jedynem dzieckiem, stary Maciej i poczciwa Maciejowa posępni byli ciągle i smutni. Serca rodziców się krwawiły, a córka chociaż udawała wesołą, przecież niepodobna żeby oko matki niedostrzegło, że i jej było ciężko na tem sercu co rodziców i Boga kochało.

Gdy przyszedł dzień do opuszczenia domu, to już wszystko troje płaczu powstrzymać nie mogli. Żegnając i błogosławiąc dziecko, stary Maciej chciał Franusi powiedzieć słów kilka o obowiązkach jakie bierze na siebie i jak je wykonywać powinna, ale mu w bólu brakowało wymowy, rzekł więc do żony:

— Ot, poszlibyśmy z dziewczyną do pana Gozdzieja, niech by i on jej też powiedział co to jest służba, a jak dziewucha słów takiego człowieka posłucha, to się z pewnością nie popsuje u ludzi.

— Oj! co prawda to prawda — odrzekła Maciejowa, pełno to między ludźmi tej bezbożności i zepsucia, a od tego dziewczyny jak oka w głowie strzedz należy. Serdeczna rada nigdy nie jest zanadto. Wiesz co stary, masz słuszność, pójdziemy do pana Gozdzieja.

W ten sposób jak do patrjarchy, jak do sędziego, przyszła do pana Marcina trójka biednych sąsiadów, po pociechę w zmartwieniu i radę na przyszłość.

Co tę ufność serc prostych zjednało panu Marcinowi?.... nic więcej jak to, że jego słowa były zgodne z jego czynami, że był człowiekiem silnego i prawego charakteru.

Pan Marcin przyjął serdecznie swych gości, a proszony przez nich, żeby był łaskaw kilkoma słowy oświecić Franusię o obowiązkach jej nowego zawodu, przemówił do niej nie szukanemi wyrazy, lecz od serca, aż się i dziewczyna i poczciwi starzy rodzice pobeczeli i poszlochali na dobre.

— Pomiędzy ludźmi jest wiele zepsucia — mówił do niej, — otóż przedewszystkiem trzeba dbać, żeby te zepsucie do ciebie nie przylgnęło. Ażeby się ustrzedz zepsucia, trzeba wiedzić jakim sposbem one działa, bo inaczej niewiadomo przeciw czemu się mieć na baczności. Zepsucie nigdy nie objawia się wprost, bo zbyt jest szkaradne w swojej jawności, zawsze ono przybiera maskę cnoty, słuszności wdziera się rozumowaniem, zawłada powoli i cząstkowo istnością człowieka, aż nareście zupełnie go opanuje. Dla tego też moje dziecko, ażebyś nie upadła, miej sobie zasadę: *nie robić nigdy tego, co dopiero wytłómaczyć sobie potrzeba że jest godziwem*, bo wszelkie tłómaczenie takie jest najczęściej targiem z sumieniem, targiem, z którego sumienie jako niewprawne w handel sobą najczęściej wychodzi oszukane. Nim coś takiego zrobić się zdecydujesz, poradź się pierwej ludzi poczciwych i starszych. Ażebyś to lepiej zrozumiała, muszę ci dać przykład:

— Wiesz dobrze że niegodziwością jest kraść i wzdrygasz się zapewne na samą myśl tego występku. Otóż, gdyby cię kto chciał skłonić do nieszanowania cudzej własności, czy myślisz, że przyszedłby do ciebie poprostu i powiedział: ukradnij! — bynajmniej; zgorszenie wkrada się i wśliguje jak ów wąż w raju, który podmówił Ewę do zjedzena jabłka. Do takiej młodej dziewczyny jak ty naprzykład, przyjdzie inna, albo się spotka z nią na mieście kiedy będzie wracała z targu niosąc koszyk wyładowany, i w rozmowie zapyta:

— A po czemu płacisz za śmietanę?

— Po piędziesiąt groszy — odpowiesz,

Wtedy spotkana przyjaciółka dalej badać zacznie:

— A po ile podasz pani do rachunku?.....

Naturalnie, że to pytanie będzie nowem dla ciebie i zapytasz zdziwiona:

— Jakże mam podać?... po tyle ile kosztuje.

— A targowałaś się? — zapyta znów przyjaciółka.

— Targowałam, chcieli dwa złote, odstąpili mi dziesięć groszy.

— No, to nie powinnaś być głupia i podać do rachunku całe dwa złote.

— A to dlaczego?—zapytasz,

Tutaj wymowna koleżanka zacznie ci wywodzić szeroko, że to coś wytargowała to sprzedający odstąpił dla ciebie, że gdyby pani sama przyszła toby ją zdarli i jeszcze by może drożej niż ty zapłaciła—że zatem jeśli podasz do obrachunku tyle ileś rzeczywiście wydała, to oddasz pani tę dziesiątkę która słusznie tobie się należy, skrzywdzisz więc siebie co nie masz nic, a nie panią, która ma dużo i twojej krzywdy nie potrzebuje.

Naturalnie nie jesteś tak wygadana jak ta adwokatka koszykowego, więc cokolwiek byś jej zarzuciła to cię przegada, a że posłuchanie jej rady może ci przynieść korzyść, więc jej będziesz zrazu ze wstrętem a potem z coraz większem upodobaniem słuchać, aż wreszcie zastosujesz się do niej i z poczciwej dziewczyny zaczniesz być — złodziejką dla tego, żeś się wdała w targi z sumieniem, żeś pozwoliła sobie wytłomaczyć iż to, do czego twój głos wewnętrzny instynktowną okazał odrazę, jest godziwem i nienaganem.

Bo koszykowe, moje dziecko, jest prostem złodziejstwem. Mówię ci o tem nie dlatego, żebym cię posądzał, że masz jaką bądź skłonność do nadużycia zaufania państwa u których służyć będziesz, lecz dla tego tylko żeby ci wskazać, jaką to drogą zepsucie się wkrada.

W takim duchu mówił pan Marcin do Franusi jeszcze więcej, zachęcając ją ażeby się pilnowała dobrej drogi, ażeby się strzegła tego wszystkiego co mogłoby ją narazić na wzgardę ludzi, coby wstyd i zmartwienie przyniosło rodzicom.

Wszystkich tych rad powtarzać tu nie będę, bo chciałem tylko wspomnić o koszykowem, więc o niem jeszcze słów kilka.

Oszukiwanie na zakupnach robionych w mieście stało się u nas tak powszechnem, że potrzeba wszelkich usiłowań dołożyć, żeby je wykorzenić. Co większa, na usprawiedliwienie go przed sobą samym, służące tak piękne potworzyły sobie teorje, że śmiało przypuścić można, iż znaczna część tych co się dopuszczają tego nadużycia, działa w przekonaniu, że nic zdrożnego nie popełnia. Na takich oświecenie, na otworzenie im oczu wpływać również należy ze szczególną usilnością, tym bardziej, że one jeszcze mogą się poprawić jako niezupełnie zepsute.

Słyszałem raz kucharkę spierającą się z panią o koszykowe, które się jakoś wydało:

— No i cóż proszę pani — mówiła jeśli mi ustąpili to dla mnie. Niech pani sama sprobuje kupić, a z pewnością pani drożej zapłaci i gorszego albo mniej dostanie. Mnie zna rzeźnik, to mi po znajomości daje dobre mięso. I cóż pani z tego przyjdzie że będę podawała rzetelnie co zapłacę, kiedy ja zato pójdę do innego rzeźnika który mnie nie zna i naważy mi samych kości. Pani mi płaci za moją robotę, a nie za moje znajomości — a jeżelibym ja miała takich rzeźników, takich piekarzy, albo taką maślarkę coby mi darmo dawali mięso, chleb albo masło — toby pani darmo jeść chciała?.....

Ten ostatni argument uchodzi za najważniejszy u sług biorących koszykowe. Zdaje im się że żadna pani, żaden moralista, sam ksiądz kaznodzieja z ambony nawet, nie zdołałby odeprzeć tego zarzutu.

A ponieważ jest to argument taki błachy i tak bezczelny, iż każdy kto jeszcze ma sumienie czyste zdumnieć się musi, że rozum ludzki gdy nad złem przemyśliwać zacznie, dojść może do posługiwania się aż takiego rodzaju wykrętami.

Jest to bowiem wykręt brzydki, szkaradny wykręt i nic więcej.

Najprzód samo przypuszczenie, że rzeźnik, piekarz lub maślarka mogliby darować swój produkt służącej, jest niemożebnem i niedorzecznem, a wreszcie gdyby nawet tak być mogło, gdyby się tak zdarzyło kiedykolwiek, byłby to fakt wyjątkowy który z zasadą i z położeniem służącej, mającej sobie powierzone pańskie pieniądze, nie ma najmniejszego związku. Czyn na którego obronę aż takich wyjątkowych potrzeba przypuszczeń, nie może być czynem godziwym.

Powtóre, kiedy z adwokatkami koszykowego przypuszczeniami walczyć potrzeba, niech więc mi wolno będzie zrobić także przypuszczenie i zapytać szanowne kucharki: coby też powiedziały, gdyby jaka pani zaczęła z którą z pomiędzy nich, następującą rozmowę:

— Moja Marysiu, czy Jagusiu, bierzesz u mnie siedm talarów?

— Tak jest pani.

— Dziś pierwszy Marca, mogłabym ci wymówić służbę...

— Prawda pani.

— Ale ja ci wymawiać nie chcę, chociaż już od kwartału nie będziesz mi potrzebną. Tylko widzisz zrobiemy tak: ci państwo naprzeciwko płacą służącej kwartalnie dziewięć talarów, roboty tyle co u mnie, więc pójdziesz do nich i z tych dziewięciu talarów brać dędziesz siedm, a ja dostanę dwa.

Ciekawym coby na taką propozycję odpowiedziała owa Marysia czy Jagusia?.. Sądzę żeby się oburzyła okropnie, a przecież niebyłoby to czem innem, tylko zastosowaniem tego samego rozumowania jakie służy na obronę koszykowego, tylko z zastosowaniem go na szkodę służącej, a nie na szkodę państwa.

Trzeba nam się porozumieć szanowne panny kucharki i do wszystkiego. Tak jak owa pani nie miałaby prawa i czoła ujmować wam pieniędzy za waszę pracę, za to że was nastręcza do swoich znajomych — taki wy nie macie prawa i czoła, jeżeli ujmujecie z pieniędzy pani, danych na sprawunki cośkolwiek za to, że jak wam się twierdzić podoba, sprawunki te robicie u znajomych handlarzy i kupców.

Koszykowe jest ciężkim podatkiem jaki opłacają państwo, lecz nie to jest jego najgorszą stroną, podatek ten płaci się od lenistwa pań, które niedokładając należytego dozoru nad służbą, przyczyniają się do zdemoralizowania klassy służących.

Ale w koszykowem leży złe daleko gorsze. Przyucza ono te które się go dopuszczają, do wchodzenia w konszachty z sumieniem, a raz wprowadziwszy je na tę drogę, już im się niepozwala zatrzymywać. Powoli z oszustek groszowych, wychodzą kobiety nie czujące najmniejszego poszanowania dla własności; raz nadużywszy zaufania na małem, nie wzdrygają się coraz większe nadużycia popełniać, a jeżeli czasami odezwie się sumienie, to je zagłuszą zdrożnemi przyjemnościami i hulankami kupionemi za zyskane na tej niegodziwej drodze pieniądze. Z początku kłamią i tają się z drobnemi swemi oszustwami, później bezczelnie i z bezwstydem dopuszczać się gotowe większych.

Piotr Bywały.

BOGACTWO—SZCZĘŚCIE.

Kto ma złotych wspomnień tyle,
Ile ja ich mam,

Temu dumać, marzyć mile,
Pieśń zadzwonić—łzę uronić,
I najdroższe ująć chwilę
Do piosenki ram.
Kto ukochał sercem kraj,
I pola, ojczyste, niwy
Kto ma wiarę w Boży raj,—
Ten bogaty, ten szczęśliwy.

* * *

Kto ma takie serce jedno,
Jakie ja dziś mam.....
Temu czarne troski zbledną,
Ten nie liczy—chwil goryczy,
Ten odtrąci duszę biedną—
Od piekielnych bram.
A kto pozna ziemski pył,
Zeń otrzepie kubrak siwy.....
Komu na to starczy sił,
Ten bogaty, ten szczęśliwy.

BÓBR.

Bóbr należy do liczby tych zwierząt, które nie posiadając wcale kłów, a będąc opatrzone zębami *siekaczami* zwanemi, takowemi przegryzają z łatwością korzenie i gałęzie drzew i z tego powodu noszą ogólne miano *gryzonów* [1]).

Bobry jako zwierzęta wodne przebywają przy brzegach głębokich rzek lub jezior, szczególniej zaś lubią miejsca ciche i odludne. Dawniej bobry znajdowały się w wielu miejscach Europy, dziś zaś liczba ich znacznie się już zmniejszyła, i pojawiają się tylko pojedynczo przy brzegach rzek Szwecji i Norwegji, we Francji nad Rodanem, w Niemczech nad Elbą i Dunajem, w Rossji nad Dnieprem, u nas zaś trafiają się czasami w niektórych miejscowościach nad Narwią, Nidą i Bugiem; dotychczas bobry pospolitemi są jeszcze w Wschodniej Syberji, szczególniej nad Leną i w posiadłościach Ruskich w Ameryce.

Dawniej w ogromnych puszczach i lasach nadrzecznych, bóbr znajdował się dosyć obficie w naszym kraju, najwięcej wszakże było ich w puszczy Białowiezkiej; że hodowla bobrów niegdyś była u nas obszernie i troskliwie prowadzona i że nad zwierzętami temi rozciągnięta była opieka, dowodzi ta okoliczność, że do ich dozoru ustanowieni byli oddzielni urzędnicy pod nazwą Bobrowników i Bobrowniczych, a nawet prawem zabronionem zostało ich tępienie lub płoszenie.

Że u nas bobry wytępione zostały do tego stopnia, iż dziś już do rzadkości należą, nie mało przyczyniła się wysoka wartość ich futer, które w znacznej nawet ilości wywożono za granicę i niemałe zyski przynosiły chciwym przemysłowcom.

Bóbr jest około trzech stóp długi; ma głowę stosunkowo małą, uszy krótkie i tak urządzone, że się zamykają gdy się znajduje w wodzie; pokryty jest gęstą siercią rozmaitej długości: włos wierzchni jest dość długi, nieco twardy, powiększej części brunatno-kasztanowatego koloru, pod spodem zaś włos jest siwawo-szarawy, miękki i delikatny jak puch, zmieniający swój kolor stosownie do klimatu okolicy. Zdarzają się jednakże bobry zupełnie czarne, inne znów białe, a żółte z centkami cynamonowego koloru, poczytują się za osobliwość. Nogi bóbr ma krótkie: palce tylnych nóg połączone są błoną jak u wodnych ptaków, które właśnie czynią to zwierzę sposobnem do łatwego i szybkiego pływania; palce zaś nóg przednich opatrzone są mocnemi pazurami; ogon bobra około $1\,^1/_2$ stopy długi, kształtu jajowatego, mocno spłaszczony, pokryty łuską — służy mu za doskonały ster podczas pływania.

Godna podziwu i zastanowienia jest pojętność bobrów, oraz przemysł ich budowniczy jakim odznaczają się w urządzaniu sobie pomieszkań; — rzeczywiście budowy przez nich wykonane, są nader dowcipne.

W późnej jesieni za zbliżeniem się zimy, bobry dla wystawienia sobie nowego pomieszkania lub też dla wyporządzenia budynku w poprzednim roku przez siebie zamieszkałego, łączą się w gromady ze 100 i więcej sztuk składające się i w tym celu na głękokich rzekach i jeziorach, które nigdy do samego dna niezamarzają, wspólnemi siłami przedewszystkiem urządzają pewien rodzaj grobli dla podniesienia w rzece wody i utrzymania jej ciągle w jednostajnej wysokości; jeżeli prąd rzeki jest dość bystry, wówczas biją groblę w kształcie łuku, obracając jego wypukłość naprzeciw biegu rzeki, albowiem grobla takiej formy silnie wytrzymuje nagłe parcie wody. Dla wzmocnienia takiej grobli wbijają rząd palików, a odstępy pomiędzy niemi zapychają plecionemi gałęźmi, mułem, gliną, kamieniami itp. ubijając to wszystko nader szczelnie, jakoby łopatą swym płaskim ogonem. Po dokonaniu tej wstępnej pracy, woda mając opór w odpływie, łatwiej utrzymuje się wciąż w pożądnej wysokości i wtedy dopiero bobry właściwie przystępują do budowy swych domków: przedniemi łapami i swym pyskiem zgromadzają w jedno miejsce nad brzegiem w górze rzeki mnóstwo różnych gałęzi, chróstu, ziemi, mułu, kamieni itp; materjały te puszczają z biegiem rzeki i doprowadzają je do miejsca, gdzie mają stanąć ich budynki. Tutaj dopiero z tego wszystkiego formują okrągłą kupę nakształt stoga, która do połowy znajduje się pod wodą. Następnie przy samym dnie rzeki czyli podstawie tej kupy, zaczynają kopać niewielki poziomy otwór, służący im potem za jedyne wejście i z wnętrza tejże kupy wydobywają nawalony materjał, tymże otworem wyrzucają go na zewnątrz i tym sposobem tworzą dość obszerną izbę, która przeznacza się na skład i magazyn zapasów, gdzie gromadzą przygotowane na całą zimę pożywienie, składające się z kory drzew, młodych pączków drzewnych, korzeni rozmaitych roślin wodnych, wreszcie z drzew miękkich gatunków t. j. topoli, wierzby, osiczyny. U wierzchu czyli w suficie tej izby, bobry wydłubują jeszcze jeden pionowy otwór i urządzają drugą górną izbę czyli drugie piętro — właściwe ich pomieszkanie, które znajdując się nad wodą jest ciepłe i zupełnie suche; tutaj cała rodzina składająca się zwykle z dwunastu lub więcej bobrów, spokojnie przepędza w śnie całą zimę, budząc się jedynie dla tego, ażeby nakarmić się przygotowanemi pod spodem zapasami. Zewnętrzne i wewnętrzne ściany tych domków są tak szczelnie i ściśle zbite, że wody przez się wcale nieprzepuszczają. Jeżeli domki pozostałe z r. z. są jeszcze dość trwałe i do użytku przydatne, to przed nastaniem zimy nie budują nowych, ale tylko zewnętrzne ściany dawnych troskliwie opatrują, zalepiając utworzone w nich wszelkie szpary i szczeliny i pokrywają je nową grubą warstwą świeżej ziemi.

Do wykonania tego wszystkiego jedynemi narzędziami bobra są: ich zęby-siekacze, przednie łapy i ogon. Zęby wyręczają topór i piłę; przednie łapy zastępują ręce; ogon zaś służy za łopatę i młot, którym wbijają kołki, ubijają splecione gałęzie i glinę, na takową nakładają kamienie i ziemię, zamazują szczeliny. Te wszystkie roboty, bobry uskuteczniają po większej części tylko w nocy i wczasie zupełnego swego bezpieczeństwa; zwierzęta bowiem te są nadzwyczaj ostróżne, czujne i bojaźliwe, powonienie zaś mają tak delikatne, że nawet po upływie kilku tygodni, poczują przedmiot którego dotykał się człowiek.

Ponieważ bobry żywią się pokarmami roślinnemi a prze-

---

[1]) Oprócz bobrów, do rzędu gryzonów zaliczają się: mysz, szczur, kret, wiewiórka itp.

ważnie korą drezw rozmaitych i takowej używają w wielkiej ilości, zatem wyrządzają znaczne szkody w lasach tych okolic gdzie przebywają.

Najważniejszy użytek jaki osiąga się z bobrów, stanowi ich futro, które stosownie do gatunku nieraz bywa dość znakomitej ceny: z krótszych włosów czyli puchu bobrowego, wyrabiane są kapelusze zwane *kastorowemi;* obok tego z dwóch pęcherzyków znajdujących się przy nasadzie ogona, otrzymuje się pewnego rodzaju maść lepka aromatyczna, używana w medycynie pod nazwiskiem *stroju bobrowego* i sprzedawana w aptekach; — mięso zas bobrów ma smak gorzkawy i bywa spożywane jedynie przez mieszkańców wysp Aleuckich. [1]).

Bobry łowią się najczęściej w zastawione żelaza lub sieci; polowanie na te zwierzęta przedsiębrane przez Aleutów, odbywają się w ten sposób: że zebrawszy się w liczną gromadę z hałasem wystraszają ich ze swych siedlisk i zmuszają uciekać w tę stronę, gdzie są gęsto rozstawieni strzelcy, którzy zabijają ich corocznie do 60,000 sztuk, co jest powodem, że liczba tych zwierząt i w tamtych nawet stronach coraz bardziej się zmniejsza. Aleuci nigdy niestrzelają do bobrów z broni palnej, ażeby ich zbyt niepłoszyć hukiem wystrzałów; skoro tylko spostrzegą płynącego bobra, szybko okrążają go i ze wszystkich stron wypuszczają nań z łuków strzały. Bóbr zanurza się, lecz nie mogąc długo bez powietrza pozostawać pod wodą, w kilka chwil raz po raz wynurza głowę nad wodę i wydaje krzyk podobny do płaczu dziecięcia; strzelcy tymczasem ścigają go dopóty, aż skutkiem zadanych strzałami ran i upływu krwi zostanie zupełnie pozbawiony sił — wówczas przewraca się na grzbiet i cały znajduje się na powierzchni wody, Aleuci zaś dopływają do niego i wciągają zabitego do łódki.



Bóbr.

Strzały przez Aleutów w tym celu używane, na końcu opatrzone są ostrą kością z kilkoma głębokiemi zacięciami. Nieraz przytrafia się że bóbr ugodzony zostaje dziesięcioma i więcej strzałami, ażeby więc można było stanowczo rozpoznać przez kogo zwierzę zabite zostało i do kogo mianowicie ma należeć, Aleuci bacznie oglądają czyja strzała najgłębiej utkwiła w ciele bobra i dla tego też każden Aleuta strzały swe naznacza właściwemi sobie znakami.

Lucjan Paprocki.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— Panu *K.* z *Gazety Polskiéj.* Zarzucasz nam Pan w Nr. 176 z r. b. tego pisma:

1°, że w Opiekunie domowym nie widać ani opieki Redakcji ani domowych spraw użytecznych, że pismo nasze wychodzi dla tego tylko, aby zadrukować lada czem bez wyboru kolumny tygodniowej strawy drukarskiej.

2°, że Redakcja w Korrespondencjach swych naucza czytelników tego, czego sama nierozumie i nadużywa przewagi w obec czytelników, którą jéj nadaje pióro redaktorskie i w odpowiedziach autorom nadsyłającym artykuły przybiera ton, jakiego nawet nie wolno w pogadance ustnej przybierać.

3°, że Redakcja pisząc, „*błędów kaligraficznych,*" nie wie co jest kaligrafja a co ortografja, a narzuca się na przewodnika opinji publicznéj.

Szanowny Panie *K!* czytając takie zarzuty, przedewszystkiem rozśmieliśmy się z pańskiej naiwnej złośliwości a następnie ze stanowiska naszego pisma, abyś mu niezarzucał braku opieki spraw domowych, zwrócić winniśmy jego uwagę na artykuł umieszczony w Nr. 31 z r. b. Opiekuna domowego pod tytułem „*Słowo w swoim czasie*", w którym wyraźnie powiedziano, że podczas obecnie trwającej cholery, tylko kieliszek wódki dziennie pić można.

Dalej czy lada czem zadrukowywamy Opiekuna Domowego, sąd do naszych czytelników należy — że jednak nie wszyscy takie jak pan *K.* mają zdanie o naszem piśmie, zacytujemy tu dosłownie z *Przeglądu bibliograficznego piśmiennictwa polskiego* sąd wygłoszony w miesiącu Lipcu r. b. „Wreszcie zasługuje na szczególniejszą uwagę Opiekun Domowy, co tydzień arkusz dobremi illustracjami ozdobiony — artykuły napisane jasno, zrozumiale, a przytem starannie opracowane."

Co do wyrażenia „błąd kaligraficzny," zamiast „ortograficzny," to łatwo każdy się domyśli, że tu powstało omyłka drukarska, których jak sama Gazeta Polska niejednokrotnie oświadczała ustrzedz się prawie niepodobna w pismach perjodycznych.

Teraz dość z panem *K.*, a słówko do Redakcji *Gazety Polskiej,* która nie wahała się umieścić jego elokubracji. Powiadacie panowie, że Opiekun Domowy narzuca się na przewodnika opinji publicznej — nigdy on nie miał tak rozlegle wytkniętego programu, jego zadaniem nieść światło i zgodę do domowego ogniska. Jeżeli nieudolnie, jak panowie piszecie, wypełnia swoje zadanie, toć nie jego wina, wzoruje się on na starszych towarzyszach pracy piśmienniczej, a pomiędzy innemi i na *Gazecie Polskiej,* która czy powinna drukować rzeczy chociażby takie jak osobistością tchnące wystąpienie pana *K.*, niech światlejszy ogół czytelników osądzi.

ZAGADKI.

— Jacy ludzie najmocniej wierzą, że ziemia obraca się około słońca?

(Pijacy — bo w ich oczach wszystko się kręci.)

— Gdzie można widzieć wojskowych noszących szpady przy prawym boku?

(W lustrze.)

Myśli i Zdania.

— Kto się skarży na pracę, ten życia nie pojał, ona jest wielką dźwignią, która porusza wszystko — próżnowanie to śmierć, praca to życie.

— Nie ma laurów o których by marzyć nie wolno, nie ma niezdobytych twierdz. Czegoż nie pokona praca, wytrwałość, silna wola i wiara w pomyślność?

— Wartośc kobiety — jako kobiety, najłatwiej poznać po pieśni przy kolebce dziecka.

— Przy porządku, ze złego, dobre — przy nieładzie z dobrego złe się rodzi.

— Nieużycie — użycie — i nadużycie jest miarą szczęścia.

---

[1]) Wyspy Aleutckie znajdują się przy brzegach Kamczatki na oceanie Spokojnym czyli Wschodnim, niedaleko cieśniny Beringa; wyspy te należą do Rossji.

w Drukarni J. Jaworskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej — Redaktor: Adam Mieczyński.